ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VI. Warszawa, dnia 3 stycznia 1914 roku. № 1.

Andrzej Strug.

„Pieniądz".

Wszelkie prawa autorskie i wydawców zastrzeżone.

Powieść z obcego życia.

I

I.

Miss Jenny przymknęła oczy w upojeniu. Do duszy jej wpływała fala rozkosznej trucizny tych ostatnich strof uwielbianego poety:

Je suis un berceau
O'une main balance
Au creux d'un caveau:
Silence, Silence!....

Opadła na kolana ciężko oprawna książka. Zapomniany został poeta, ukochany ponad wszystkich, znikło jego imię, znikła sama treść wzruszenia. Bezimienny ból, mieniący się na mgnienie oka w niewiadomą, najtajniejszą rozkosz, okropny strach przed okrucieństwem jakiejś niesłychanej prawdy, to znowu moment ciszy. Kojący spokój jesiennego, pogodnego popołudnia, zapach więdnących liści, uśmiech błogości.

Na jej obliczu, wysubtelnionem przez nadwrażliwość, napiętnowanem przez dziwną chorobę, nad którą radzili bezradnie od lat najznakomitsi lekarze świata, odbijała się wyraźnie każda myśl, każdy najprzelotniejszy moment wewnętrznego życia. Ruchliwa, niespokojna, bolesna, radosna, tragiczna, szydercza, mieniła się jej twarz w samotnej zadumie, pełnej dziwów, zagadek, cierpień, radości.

Na chwilę podnosiła powieki i wielkie, zielonkawe oczy roztwierały się jakby ze zdumienia. Przeobrażała się nie do poznania, patrząc uparcie w coś niewiadomego. Ręce ujmujące książkę siliły się, by uczynić jakiś ruch. Poruszały się niespokojnie białe palce, ozdobione pierścieniami o wielkich, ciemnopołyskujących kamieniach. Wysiłek w oczach, wysiłek w całej postaci ku ogarnięciu i zrozumieniu czegoś najtrudniejszego...

Aż opadały powieki, opadały ręce i całą postacią spoczywała w bezwładzie w olbrzymim głębokim fotelu, obitym wytłaczaną skórą. Głowa jej, okręcona ciężkim zwojem kasztanowatych włosów, przechylała się w tył na wymyślnie wzorzyste oparcie, a rysy twarzy zastygały w nieruchomości. Zapadały się w głąb pod ciemne brwi zaciśnięte powieki, usta układały się w linię martwego spokoju.

Jenny zdawała się umarłą. Spoczywała godziny w martwocie myśli, bez ruchu, zda się, bez oddechu.

Przed nią, jak okiem zagarnął, groźnie piękny i ponury w swej martwocie świat. Wielki, oszklony olbrzymiemi taflami i tonący w kwiatach balkon, wisiał w przestrzeni.

Poniżej, szeroko, jak okiem sięgnął, na dnie przepaścistem zalegały lodowce. Pokrętne ślady ich dróg, poznaczone smugami zwałów skalnych, zdawały się pełzać w dole. Tam rozwierały się głębokie, zimne szczeliny i rozpęknięcia, piętrzyły się stosy podruzgotanych brył lodu i kamieni. Wielkie iglice lodowe sterczały, dźwigając złomy skał. Tu i owdzie na białawo-lazurowem polu śniegowem wychylał się czarny, ostry cypel skalny i pruł, rozgarniając na obie strony, osuwające się rzeki lodowe. A dalej niepokalanie biały step śniegowy szedł pochyło ku górze, nieogarniony, wyrównany, martwy, i tam, kędyś, na jakiejś wyżynie, ku której trzeba było wznosić głowę, ginął we mgłach, które zamykały resztę świata ołowianą zasłoną.

Od tygodnia góry we mgłach. Od tygodnia Jenny w niepokoju i trwodze.

W słonecznej, tonącej w kwiatach chacie swojej w Kalifornii, w uroczym, upalnym i wonnym kraju, nad lazurowym oceanem, zatęskniła za ponurością i zimnem lodowców, za grozą czarnych ścian skalnych. A nadewszystko za nim, za ukochanym swoim szczytem. I porwała się pewnego dnia, wbrew zakazom lekarzy, ku zachcianemu.

Popędziła zamknięta w wagonie przez stepy dalekiego zachodu, przez płaskie, martwe i puste wyżyny, przedarła się przez Góry Skaliste i mknęła przez wielkie rzeki, przez olbrzymie miasta, przez nieskończony, rojny kraj, nie wiedząc, gdzie jest, zatopiona w swoich marzeniach. Gdy przypadkiem spojrzała w okno, widziała step, stada koni lub wołów, tonących w przepychu traw, widziała ściany skaliste i przepaście, lub jakieś miasta, jakieś wsie.

Niewiadomo kiedy zakołysał się pod nią parowiec, chlusnęła w okrągłe okna zielona fala morska. Niewiadomo, jak znalazła się wśród zgiełku ulic Paryża, roztargnionem okiem spoglądała przez okno samochodu na tłumy ludzi. I znowu usypiał ją do marzeń zawrotny pęd i głuchy, rytmiczny łoskot wagonu...

Aż ocknęła się nareszcie w górach. W radosnem wzruszeniu czekała na uroczą, mocną chwilę powitania, wspinając się koleją zębatą w górę doliny świętego Mikołaja. Ale w połowie drogi, około stacyi Rauda, pociąg wszedł we mgły. Zagasła gwałtowna radość. Pocieszała się, że za to jutro, rankiem...

Na stacyi w Zermatt ucieszyła się na widok ulubionego muła, Boba, którego nie widziała od ośmiu miesięcy; nakarmiła go cukrem, poklepała go, powitała kalwakadę służby, która przybyła na jej powitanie, i ani razu nie odwróciła głowy ku stronie, gdzie — gdzieś we mgłach, daleko, wysoko, stał on. Wspinając się w zakosy po ścieżynie ku swojej willi, przez całą drogę rozmawiała z groomem, prowadzącym jej muła, i ani razu nie spojrzała ku górom.

Wyobrażała sobie, że jutro wczesnym rankiem ujrzy go w słońcu i pogodzie, odsłoiętego w całym

przepychu od stóp do szczytu, olśniewającego od śniegów na tle głębokiego, modrego nieba.

Od tygodnia czeka napróżno. Gdy się budzi i biegnie do okna, gęsta, ciężka mgła zalega wszystko. Ku południowi mgły się podnoszą, odsłaniając dolne piętra lodowców, skały, pola śniegowe, pomniejsze zębate i postrzępione skarpy głównego masywu i nieskończone płaszczyzny białe, biegnące pochyło ku górze, wżerające się ostremi językami we mgły.

Męczyło ją to niewymownie.

Jeszcze smutniej, jeszcze dłużej, niż gdziekolwiek indziej, wlókł się tutaj dzień jej osobliwego trwania. Czytała Verlaine'a, drzemała duszą, nie wiedziała, gdzie jest i czy jest, przyglądała się kwiatom, których cały przepych musiał być wszędzie, gdzie się bodaj przelotnie znajdowała.

Godzinami, w beztreściwej zadumie, pieściła dłońmi ametysty, osadzone w oprawie ulubionej książki, pieściła kamienie swoich pierścieni i czekała.

Kiedy wicher od gór uderzał w szyby jej balkonu-cieplarni i trząsł całym gmachem, zbudowanym z granitu, słuchała z upojeniem jego wściekłego wycia. Błogosławiła jego potęgę, która rozerwie i rozmiecie po świecie chmury, odsłoni góry, da szczęście.

Z zapartym oddechem wpatrywała się w niezmierzone pole walki, gdzie wichry wodziły się z chmurami. Spychane ze szczytów, deptane i rozrywane na płaty, kłębiły się chmury nizko nad lodowcem, pełzały po śniegu, kryły się w czeluście skalne, w czarne przesmyki, przewlekały się przez zębate granie i darły się na strzępy, słały się, jak dymy.

Przez cały dzień, przez całą noc wył wicher. Siekł w szyby gradem, zalewał je strugami deszczu. W ciągu jednej nocy oblepił tafle szyb grubą warstwą mokrego śniegu. Groził śnieg wypieszczonym orchideom i wspaniale rozkwitającym różom. Kwiaty stały w spokoju za grubą taflą w rozkosznem cieple wnętrza i urągały wichrom i śniegom.

Niebaczne kwiaty! Nieświadome, piękne i bezsilne... Zaufały opiece człowieka, spokojnie patrzą na mroźną śmierć, czyhającą na nie zblizka. Pełne potęgi i bujności życia, roztwierają kielichy, rozchylają wątłe płatki ku dyszącym zimnem lodowcom.

Jak ona... W czyjąż potężną opiekę uwierzyła ona? Kto czuwa nad jej niesłychanem, rozmarzonem życiem, które niepodobnem jest do człowieczego istnienia? Kto ją prowadzi wśród wiecznie samotnych wędrówek po szerokim świecie i wśród zawsze samotnych marzeń?

Wiecznie sama jedna. A jednak ufa, że kiedyś pozna i zgłębi tę siłę tajemniczą, która każe jej męczyć się i czekać długie lata. Wie, że przyjdzie ów moment najwyższy, kiedy odsłoni się wszystko, co ukrywa się za mgłą — jak teraz góry. Ogarnie ją nowe życie, spotka ją coś już ostatecznego, coś prawdziwego. Wydobędzie się z matni snów na jawie i z pośród udręczeń, jakie jej sprawia obrzydły świat zewnętrzny, pełen okropnych, bezdusznych ludzi, niepojętych w brzydocie swego życia.

Nastanie kiedyś ów dzień szczęśliwy. A teraz... Kto wie, może gdy rozsuną się mgły, kiedy ukaże się on, ów najcudniejszy i najpotężniejszy kształt, w jaki oblókł się duch świata... Kiedy zaświeci blaskiem śniegów na głębokiem niebie...

Może spłynie na nią spokój rozumienia siebie, świata, wszystkiego. Może rozpęknie się skorupa, która ją dzieli od światła i radości, od ludzi, od wszystkiego na świecie? A może w owej chwili umrze?

Same usta szeptać zaczęły jego imię. Z żalem tęsknoty, z nieśmiałem błaganiem niewolnicy powtarzała dźwięk ukochany.

Jak do bóstwa, modliła się tem jednem słowem. Upajała się niem, jak rozmodlony upaja się słowami litanii. W ekstazie utęsknienia powtarzała je bezwiednie, uporczywie. Z szeptania przeszła w cichy półgłos, pełen wyrzutu i błagania. Powtarzała jego imię, jak imię niedobrego kochanka, który odszedł, zdradził, a pozostał nazawsze jedynym.

Wicher wył, gwizdał, trząsł gmachem z kamienia, rozbijał się w szaleństwie o olbrzymie tafle szklane, groził kwiatom, mocował się ze zrębami z granitu, zawziął się, by zmieść i strącić w przepaść zuchwałe gniazdo człowieka. Chaos chmur przewalał się przed oknami. Na mgnienie oka odsłaniał się lodowiec, jakaś skalista, czarna grań, ułamek przepaści — i ginęło wszystko, jak w dymie, w otchłani gęstej mgły. Weranda, wnętrze, pełne kwiatów, kobierców, wytwornych mebli, dzieł sztuki, zdawało się płynąć kędyś w chmurach, porwane wichrem.

Z pod przymkniętych powiek Jenny zaczęły spływać łzy. Zatrzęsła się w łkaniu. Z jękiem, wśród płaczu wymawiała jego imię, powtarzając je bez przerwy, uporczywie, nieprzytomnie. Rozlegał się jej głos po wielkiej, oszklonej komnacie. Rwało się to imię w łkaniu, dobywało się z głębi piersi z coraz większym trudem i bólem.

— Matterhorn!... Matterhorn!...

Mistress Brigs, zajęta czytaniem pism feministycznych w swoim gabinecie, oddzielonym od apartamentów Jenny długim korytarzem, dosłyszawszy w cichym, jakby wymarłym domu podejrzany odgłos, zmarszczyła potężne czarne brwi i, skradając się po miękkich dywanach korytarza, stanęła przed zamkniętemi drzwiami głównego salonu. Gotowa każdej chwili zastukać i wejść z uprzejmym uśmiechem, gotowa każdej chwili uskoczyć i skryć się w korytarzu, nadsłuchiwała.

Przebiegła i subtelna kobieta chwytała najlżejszy odgłos i wartowała cierpliwie, naradzając się z sobą, co czynić i czy należy już wogóle coś czynić. Czy wejść i zaprzątnąć czemkolwiek Jenny, czy pozostawić ją narazie samej sobie. Czy czekać pogody, która, zresztą, sprowadzi nowe kłopoty, czy też natychmiast telegrafować do Wiednia po doktora Wrangla?

Stała długo, wysilając swoję inteligencyę i pracując ciężko nad rozwiązaniem trudnego zadania. Tu nie można się było omylić. W takich razach stawiała na kartę całe zaufanie, którem obdarzała ją niesamowita pani, nawet cały swój los i stanowisko damy do towarzystwa oraz sekretarki, które dawało jej kolosalną sytuacyę materyalną, zbytek w życiu codziennem, niespodziewane, może nieco zbyt ustawiczne, podróże po obu półkulach świata, a żadnej pracy, prócz najzawilszych i przesubtelnionych kłopotów, wyrażających się w nieprzerywającem się zgadywaniu nieodgadnionej Jenny.

Kiedy przemówić? Kiedy milczeć? Kiedy usunąć się, jak cień, i nic nie widzieć, dostrzegając jednak wszystko, i niczemu się nie dziwić, i tolerować wszystko, nawet najbardziej nieprawdopodobne dziwactwa, a kiedy wziąć w swoje mocne ręce ster rozwichrzonej duszy, brutalnie wedrzeć się w tajemny świat i rządzić się, jak niańka z dzieckiem, nakazywać, zabraniać, postępować, jak z niepoczytalną.

Z Matterhornem mistress Brigs znała się dobrze, była tu już po raz czwarty. Nigdy jednak nie czekały tak długo na pogodę. Nawet tutaj, w ponurej willi na cyplu skalnym, miewała zazwyczaj mniej zachodu, niż gdzieindziej. Bądź co bądź, Jenny miała tu swoję wyraźną, namacalną manię, która ją zaprzątała zupełnie. Gorzej bywało w okresach spleenu i nudy, kiedy Jenny nie wiedziała zupełnie, czego chce, i miotała się wśród szaleństw i awantur, przeplatanych atakami już zupełnie niezaprzeczalnego obłędu.

Mistress Brigs wróciła do swego gabinetu, gdzie okna były szczelnie osłonięte, a przy biurku paliła się lampa elektryczna — mistress Brigs bowiem nienawidziła gór, skał i śniegów, które ze wszystkich stron właziły do willi, oszklonej, jak latarnia. Dumała jeszcze przez chwilę, wreszcie podeszła do telefonu.

— Hallo!

Napróżno wołała i dzwoniła. Wreszcie nacisnęła guzik przy biurku, i w minutę później na progu stanął ktoś w rodzaju statysty z „Hu-

gonotów", odziany obciśle i czarno, człowiek dziwnie piękny.

— Linia znowu przerwana?

— Przed dwiema godzinami posłałem na dół po ludzi. Lada chwila naprawią. Straszny wicher przez całą noc.

— Natychmiast dwa muły w dół. Będzie gość i bagaże. Hotel Monte Rosa. Mister Courtney. Zdążyć na śniadanie! Niech siodłają. Za trzy minuty przyjść po list.

Zasiadła do biurka i pisała z szyderstwem w oczach.

— Miss Jenny — rzekła mistress Brigs, wchodząc do salonu. — Czy zechcesz przyjąć Roberta, który jest tu w przejeździe? Sądzę, że należałoby go zatrzymać na śniadanie. Czas jest szkaradny!

— Bardzo mi będzie miło — odpowiedziała Jenny apatycznie. Nie okazała ani zdziwienia, ani zadowolenia, ani wzruszenia, ani niechęci.

W istocie zaś wiedziała dobrze, że Robert wyruszył za nią z Kalifornii następnym pociągiem, że przepłynął ocean następnym okrętem, i w dwa dni po jej przybyciu do Zermatt był już tutaj i czekał. Tak bywało zawsze i wszędzie.

Przez chwilę rozważała, czy widok jego będzie jej miły, czy obojętny. Ale ponieważ męczyło ją myślenie o czemś wyraźnie określonem, więc dźwignęła białemi rękoma ciężką księgę, wysadzaną na oprawie wielkiemi ametystami, i pogrążyła się nanowo w kontemplacyi zawiłych ozdób i iluminacyi, otaczających pergaminowe karty, na których gotyckie litery, wypisane ręką artysty, układały się w obraz miły zmęczonym oczom i zmęczonej duszy.

Były to jakieś żywoty świętych, jakieś hymny w niezrozumiale starożytnej francuszczyźnie, zagmatwanej skróceniami. Coś nadzwyczaj średniowiecznego, liturgicznego, mistycznego. Ciemny karmin i spłowiała sepia pisma, piękne miniatury i inicyały, twardy szelest przewracanych kart, sam ciężar świętej księgi dawały jej rozkosz wypoczynku od bezcelowego życia. Drzemiące marzenia jej były pełne gotyckich katedr, wieżyc i murów, ciasno zabudowanych, starych miast. Tam, w samotnej celi klasztornej, ona, Jenny z trzynastego wieku, roztapiała się w modłach, unosiła się w ekstazie ku niebu. Tam po nocach, wśród grobowej ciszy klasztoru, nawiedzały ją dziwy i tajemnice. Rozkosz strachu, rozkosz zgrozy wobec niewiadomego, bezbożne wahanie duszy między Bogiem a Szatanem — uwielbienie grzechu — otchłanie sabatu. O północy przez grube mury celi klasztornej przeciska się on — zawsze niespodziewanie odmienny, zwodniczy i piękny, gorejącu urokiem piekieł. Bywa dla niej tyranem, bratem, mędrcem, kochankiem. Szydzi, pochlebia, straszy, grozi, dusi ją w swym uścisku, całuje jej stopy... Jakiż jest piękny!...

Jenny wie, że czeka ją za to straszny sąd ludzki, zimny loch, tortury i stos ognisty na rynku miejskim. Wzdryga się ze strachu i truchleje. Dopóki zdoła, ukrywa swoję tajemnicę, ale coraz silniej budzi się w niej nieprzeparta, śmiertelna żądza, żeby wyjawić wszystko, wyznać publicznie każdą swoję zbrodnię, urągać Bogu, przyznać się do Szatana.

Lada dzień Jenny z trzynastego wieku uczyni to. Pójdzie na męki. Jenny z trzynastego wieku wzdryga się ze zgrozy i truchleje. Jenny prawdziwa z rozkoszą oczekuje na zapowiedziane misteryum i zapomina na chwilę o nędzy i nudzie bezcelowego życia.

Chwila ułudy przemija szybko. Znowu wychodzą na jaw realne troski i wieczne kłopoty. Deszcz... Siecze w okna, toni i odrywa od szyb płaty śniegu, z któremi było nieomal milej, niż z tym okropnym obrazem zamętu mgieł przed oczyma.

— Matterhorn!...

Jenny czuje, że niebawem zabraknie jej sił do walki z prześladującem ją fatum. Poryw namiętności, który przyniósł ją aż tutaj z drugiej półkuli świata, stargał jej siły, wyczerpało ją do ostateczności czekanie. Nadejdzie chwila, kiedy wola osłabnie do reszty, w głowie pogmatwa się wszystko...

I już nie zdoła oprzeć się brutalnej woli mistress Brigs. Będzie jej słuchała we wszystkiem, jak wystraszone dziecko, będzie przed nią poniżała najgłębsze swoje uczucia, odsłoni najtajniejsze żądze i marzenia — sama odda w jej grube ręce swoje losy.

— O, Matterhorn!... Matterhorn!...

Od niego jednego zależy wszystko... Cały los, spokój, szczęście.

— Ukaż się! Daj znak, że jesteś... Powiedz słowo! Nie opuszczaj mnie... Matterhorn!... Matterhorn!... Broń mnie od nieszczęścia! Osłoń przed strasznymi ludźmi! Broń mnie od stryja, broń od mistress Brigs, od całego świata, który mnie prześladuje!

— Matterhorn!...

Zadźwięczały zalane w ołów wielkie szyby. Głuchy, potężny grzmot zatrząsł gmachem z granitu. Coś potwornie olbrzymiego runęło aż w głąb ziemi. Waliły się góry, bryły lodu, kolosalne bloki skał. Nizkim, najgłębszym, basowym tonem zawyło coś przeciągle, aż zabolało w głębi mózgu. Nieskończenie długo ciągnął się piekielny akord. Nie urywał się, dręczył, dusił, miażdżył duszę, rozgniatał człowieka, jak marnego robaka...

Jenny ścisnęła głowę rękoma, zerwała się z fotela i padła na ziemię, miotając się w paroksyzmie strachu, zgrozy, rozkoszy.

Nie mogła już dłużej znieść tego... Za chwilę skona!... Dosyć! Dosyć! Litości! Wielki! Potężny! Panie mój!

Zwolna przygasał straszliwy głos. Przerywał się na chwilę—rozszczepiał się na trzaski i zgrzyty, opadał rytmicznie, jak tętno potwornej, niepojętej machiny, wybuchał tu i owdzie w huku piorunu, długo wlókł za sobą echa dalekie, coraz słabsze, coraz dalsze, nikłe, ledwo uchwytne...

Zamilkł.

W szyby bił, jak taranem, pęd powietrza, wypartego przez lawinę. Kryształy pyłu śniegowego sypały się z przenikliwem dzwonieniem.

Jenny leżała twarzą do ziemi, w szczęściu i zapamiętaniu, korząc się przed olbrzymem świata, uwielbianym ponad wszystko.

Odezwał się na jej tęskne wołanie, dał znak życia. Powrócił jej siły i męstwo. Jenny znowu włada losami swojemi. Znowu ogarnia marzeniem niezmierzony świat zjawisk i odczuwa rozkosz życia.

Jasna, chwytna myśl przebiega lekko po nagromadzonych przez stulecia skarbach ludzkości, nurza się w dawności zamierzchłych czasów, upaja się pięknem różnolitem, wchłania je w siebie, jak woń kwiatów. Czuje swoję wspólnotę ze wszystkiem, co było i jest w czasie i w przestrzeni. Jest wszędzie obecną! Jenny istniała zawsze — jest nieśmiertelną władczynią życia. Wszędzie rozkosz!

Rozkosz rozumienia spraw ludzkich, zwikłanych i trudnych — rozkosz podziwu i zgrozy wobec straszliwych tajemnic bytu. Rozkosz ukorzenia się wobec nadprzyrodzonej potęgi, rozkosz władztwa nad rojowiskiem zwyczajnych, nędznych ludzi...

Jenny powstała z ziemi. Uśmiech szczęścia jaśniał w jej oczach. Rozglądała się wokoło, jak obudzona ze snu. Jakaś niewiadoma, jasna chęć wzbierała w niej. Za chwilę zabłyśnie jasno i wyraźnie zachcenie dziwne lub zwyczajne, lub jeszcze inne, niebywałe. Może porwie się i popędzi w daleki świat? W Tryeście czeka pod parą „Albatros", gotowy każdej chwili do podniesienia kotwicy. Ceylon?

A może posiedzieć dzień — dwa w dworku Madeirze. O tej porze kwitną drzewa pomarańczowe. Nie była tam od półtora roku. Ujrzała przelotnie taras nad morzem, pokryty kwiatami w barwach liliowej i żółtej, a poniżej ocean, bezmiar lazurowy pod płonącem słońcem.

DCN.

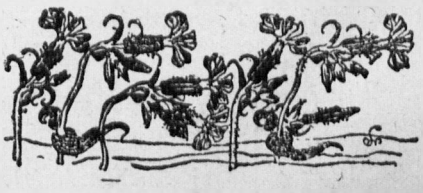

KAZIMIERZ TETMAJER.

Z notatek.

I.

O kwiatku, kwiatku mały,
jakże zazdroszczę ci spokoju — —
coś w tobie jest ze skały,
coś w tobie jest ze zdroju,
coś ze zwierzęcia w lesie,
coś z gwiazdy błyszczącej zdaleka,
coś z blasku, który mgła niesie,
coś z iskier, gdy kuźnię wiatr chłoszcze — —
tylko nic niema z człowieka
i tego ci, kwiatku, zazdroszczę.

II.

Spozierałem nieszczęściu nieraz prosto w oczy,
widziałem mękę ludzi, psów, ptaków i koni,
drzew, kwiatów, trawy schnącej w kurzawie na błoni
i widziałem, że wszystko tu współ się jednoczy,
tu jest jako na łonie niezmiernem macierzy,
tu podobne do siebie czuciem wszystko leży.
Jestże więc boleść matką, wszechspójnością życia?
Jestże nieprawdą wiara we wszechmiłowanie?
Jestże nawet nieprawdą wiara w niewładanie?
A jeżeliby boleść była matką bycia,
czyż następstwem zamarcia znów boleść nie będzie,
czyż boleść jest przedwieczna, jest wieczna, jest wszędzie?

III.

Ślimak mi się powoli przed oczyma wlecze — —
jakże mi przypomina zwykłe życie człecze:
ciężko się sunie — macki wysuwa z ostrożna,
tu, tam próbuje — tu, tam raz po raz nie można,
trwożliwie, z trudem pcha się przed się, a na grzbiecie
dźwiga dom, co go ciężko i z uporem gniecie
i zowie się „schronieniem", a nie jest ochroną
nawet przed marnym kretem, cóż dopiero wroną!
Idzie, wlecze się, cała natura nim gardzi,
sam nie wiem, czy tragiczny, czy komiczny bardziej?

Hall Caine.

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

1

Powieść w 3-ch tomach.

Tom pierwszy.

Opowiadanie Maryi O'Neill.

Część pierwsza.

Moje dziewczęce lata.

Rozdział I.

„Z Głębokości, o, Panie! z głębokości"... śpiewa najpiękniejszy z hymnów naszego Kościoła; i ja również z głębokości życia mego, z samego jego dna wydobyć muszę zdarzenia, które chcę tu opowiedzieć.

Byłam dzieckiem niepożądanem — niepożądanem, jako córka w każdym razie. Ojciec Dan Donovan, proboszcz naszej parafii, opowiadał mi o tem. Urodziłam się w październiku. Deszcz lał, jak z cebra, i strumieniami spływał po frontowych oknach naszego domu.

Około czwartej po południu zerwał się wicher i z suchym chrzęstem pędził żółte liście kasztanów po podjazdowej alei, a odległe o milę morze wyło, jak chory pies.

W gabinecie mego ojca, na parterze, ojciec Dan siedział przy kominkowym ogniu, przesuwając paciorki różańca i łowiąc uchem każdy odgłos, dochodzący z pokoju mojej matki, położonego tuż nad sufitem gabinetu. Mój ojciec chodził tam i napowrót po obszernej komnacie, tym swoim ciężkim krokiem, od którego drżał cały dom. Raz po raz ciotka Brygida zjawiała się z zapewnieniem, że wszystko idzie dobrze, a co półgodziny doktór Conrad wchodził pocichu, siadał przy kominku, pociągał kilkakrotnie dym z długiej, glinianej fajki i wracał na górę.

Ojciec mój niecierpliwił się ogromnie.

— Jak to długo trwa — rzekł wreszcie, utkwiwszy badawcze spojrzenie w twarzy doktora.

— Tylko się pan nie trwóż; przedewszystkiem nie trwóż się — rzekł Ojciec Dan.

— Niema po temu żadnego powodu — upewniał doktór Conrad.

— Więc wracaj pan na górę i niech się to raz skończy — rzekł ojciec. — Dostaniesz pan pięćset dolarów, jeżeli wszystko pójdzie dobrze.

Ojciec mój był wtedy to co się nazywa człowiekiem niepospolitym. Jest nim po dziś dzień. Srogim i okrutnym był dla mnie, lecz muszę mu oddać tę sprawiedliwość. Gdyby się był urodził królem, byłby całemu światu narzucił strach a może i szacunek dla swego narodu. Tymczasem urodził się chłopem, najbiedniejszym z chłopów: wyrobnikiem. Rodzinna jego chatynka z bielonemi ścianami i słomianym dachem stoi po dziś na pustkowiach Ellan'u, niby zbita w popłochu podczas burzy trzódka bydła.

Ojciec jego był naturą dziką, nieokiełznaną, pełną dziwacznych aspiracyi. Jakkolwiek urodzony w nędznej lepiance i znany, jako Daniel Neale, uroił sobie, że pochodzi z rodu najwyższej arystokracyi, w okolicy, O'Neill'ów z Mansion House i baronów na zamku Raa. Aby dojść praw swoich, całemi dniami grzebał się w parafialnych papierach, a po nocach rozprawiał o tem szeroko w wiejskiej oberży. Wpół żartem, wpół seryo nazywano go „Lordem Neale". Pewnego dnia przyniesiono go do domu nieżywym. Zabił go w kłótni po pijanemu kapitan O'Neill, rozpustny zawadyaka, uderzeniem laską w skroń. Moja babka rozwiesiła wpoprzek izby śledziową sieć, by ukryć trupa przed dziećmi, śpiącemi w drugiem łóżku.

Było ich sześcioro, a po śmierci męża babka musiała całą tę gromadkę własną pracą wyżywić. Przeważnie przędła i pełła dla bogatych sąsiadek, ale był to nędzny zarobek i w chacie rozgościła się nędza. Pięcioro z dzieci umarło; pozostał tylko mój ojciec, również imię Daniela noszący. Gdy podrósł, stał się wielką pomocą matce. Myślę, że musiał ją kochać. Aczkolwiek dziś wydaje się to trud-

nem do wiary, mojem przekonaniem jest, że w dzieciństwie była to szlachetna i uczciwa natura.

Uważam za potrzebne opowiedzieć tu pewne, drobne zdarzenie z owych czasów. Pewnego dnia mój ojciec i jego matka poszli w góry zbierać wrzos i jałowiec na opał. Uzbierawszy cały stos, owiązali go powrósłem i ciągnęli do domu. W drodze wypadło im przejść wpoprzek gościńca i trafiło się to w chwili, kiedy z alei Mansion House'u wyjechał raptem wspaniały powóz, zaprzężony w dwa ogniste rumaki, któremi powoził stangret w kapiącej od złota liberyi. Konie przestraszyły się i zdębiły; a wtedy pan, siedzący w powozie, wychylił się i zaklął gniewnie, stangret zaś ściągnął biczem matkę po głowie, a chłopca po gołych łydkach, aż zaświszczało.

W chwilę potem powóz zniknął na zakręcie. Należał on do głowy rodu O'Neill'ów, lorda Raa, którego najbliższy krewny, kapitan O'Neill, zabił mego dziadka; więc moja biedna babka nie rzekła ani słowa. Ale jej synek otarł oczy podartym rękawem kurtki i rzekł:

— Nie martw się, mamo. Gdy dorosnę, będziesz miała własny powóz, a wtedy nikt nie ośmieli się znęcać nad tobą.

Babka moja, nie doczekawszy spełnienia obietnicy, umarła. Ojciec mój był podówczas dwudziestoletnim rosłym, barczystym młodzieńcem. Wykształcenia żadnego tak dobrze, jak nie posiadał, ale miał bystry umysł i niezwyciężoną wolę. Wnet po śmierci matki wyemigrował do Ameryki. Jaką tam naprzód pracę znalazł, nigdy dobrze dowiedzieć się nie mogłam. Słyszałam tylko, że to było coś niebezpiecznego dla życia i że ludzie umierali przy tem, jak muchy. Ale on miał żelazny organizm, i nietylko wytrzymał, ale wprędce wybił się na stanowisko naczelne. Po upływie pięciu lat został wspólnikiem przedsiębiorstwa. Po dziesięciu dorobił się majątku, po dwudziestu pięciu był milionerem, dyrygującym trustami, przeprowadzającym olbrzymie interesy.

Słyszałam, jak sam mówił, że pieniądze płynęły mu wtedy drzwiami i oknami; ale co się wkońcu stało, tego nigdy dowiedzieć się dokładnie nie mogłam. Podobno zaszła jakaś kolizya z prawem: przymusowe zlikwidowanie interesów. Zresztą, z opowiadaniem mojem wiąże się tylko ten fakt, że w czterdziestym piątym roku życia powrócił do Ellan. Był wtedy mężczyzną dojrzałym, o surowym wyglądzie, rozkazującym głosie i szorstkiem obejściu.

Żądza bogactwa wypiętnowała na nim swoje ślady, ale cała okolica upadła teraz przed nim plackiem, a ci, którzy drwili z jego ojca, byli pierwsi do złożenia mu czołobitności.

Pierwszą rzeczą, jaką uczynił po powrocie w ojczyste strony, było kupienie tego kawałka ziemi, na którym stała chatynka jego rodziców. Kazał ją odrestaurować, wybielić świeżo i osadził w niej jakąś biedną starowinkę.

— Może mi się kiedyś przydać— powiedział.

Następny jego czyn był godny syna „Neale'a lorda". Dowiedziawszy się, że kapitan O'Neill popadł w długi po uszy, pospłacał jego wierzycieli, wyrzucił go z Mansion House'u i sam się tam osiedlił.

W rok później wynagrodził mu to na swój sposób, żeniąc się z jedną z jego córek. Było ich dwie: starsza Izabela była śliczną, wątłą dziewczyną, łagodną, nieśmiałą, pokorną niemal, jak te leśne zioła, które najpiękniej pachną wówczas, kiedy się je depcze. Młodsza, Brygida, była nieładną, dumną z siły swego umysłu i woli.

Ku jej wielkiemu zmartwieniu, ojciec mój wybrał starszą. Nie zdaje mi się, żeby pytano moją matkę o jej zdanie w tym względzie. Obaj ojcowie, jej i mój, załatwili tę sprawę pomiędzy sobą i na tem by się skończyło. W dzień ślubu ojciec mój uczynił dwie znamienne rzeczy: Podpisał akt ślubny, jako Daniel O'Neill, na zasadzie dokumentów heroldyi, i, przywiózłszy oblubienicę do jej niegdyś rodzinnego domu, zatknął na wieży ponurej siedziby gwiaździstą chorągiew swojej przybranej ojczyzny.

Dwa lata minęły, nie przyniósłszy potomka, i ojciec mój nie taił swego wielkiego rozgoryczenia z tego powodu. Dotychczas zajmował się tylko ulepszeniami w zakresie własnych dóbr, ale jego niespokojna, energiczna natura zaczęła się domagać szerszego pola działania. Ellan było podówczas miejscowością zgoła pierwotną, zamieszkałą przez napół wieśniaczą, napół rybacką ludność, bogobojnie żyjącą w ubóstwie i przeważnie zadowoloną ze swego losu.

Ale ojciec mój powziął dla niej ambitne plany. Zapragnął zbudzić wyspę do nowego życia, pobudować hotele, teatry, kasyna, elektryczne koleje na szczyty gór, jednem słowem, przeobrazić ją w rodzaj przybytku rozrywek dla wszystkich mieszkańców Wielkiej Brytanii.

A że zawsze nadzieja szybkiego zbogacenia się będzie nęcić ludzi magnetycznie, więc niektórzy z wybitniejszych sąsiadów mego ojca, bankierzy, adwokaci, prawnicy, przystąpili wraz z nim do wykonania tych awanturniczych planów.

Lecz zaledwie rozpoczęto roboty, zaszedł fakt doniosłego znaczenia dla mego ojca. Stary lord Raa na Zamku Raa, ten sam, który jechał wtedy w powozie i zwymyślał moję babkę, po długich latach hulaszczego życia na stałym lądzie, w trakcie czego nabawił się różnych brzydkich chorób, wrócił do Ellan, by tam umrzeć. Był bezżennym, i kapitan O'Neill byłby jedynym jego spadkobiercą, ale ojciec mojej matki umarł był właśnie przed rokiem i zdawało się, że zarówno tytuł, jak dobra (które mogły się były dostać podług prawa, najbliższemu, żyjącemu męskiemu potomkowi z linii żeńskiej), przejdą na dalekiego krewnego, czternastoletniego chłopca, który znajdował się podówczas w szkołach w Eton i był protestantem.

Rozgoryczenie mego ojca nie miało granic. Ale najczęściej zdarza się to, czego się najmniej spodziewamy; i pewnego dnia wiosną doktór Conrad, wezwany do mojej matki, która od pewnego czasu niedomagała, oświadczył, że była przy nadziei.

Ojciec mój szalał poprostu ze szczęścia, choć w pierwszej chwili wybuchy te miarkowała obawa, że owem mającem się urodzić dzieckiem może być nie chłopiec. Ale po pewnym czasie jego próżność i niezłomna wola do takiego stopnia odniosły zwycięstwo nad rozsądkiem, że zaczął mówić o przyszłym synu, jakgdyby to była sprawa naprzód załatwiona. Rozprawiał godzinami z matką, z doktorem Conradem, a zwłaszcza z Ojcem Dan o wyborze imienia dla tego potomka. Miał się nazywać Hugo, ponieważ to imię było w rodzinie O'Neillów, od owych zamierzchłych czasów, kiedy ród ten jakoby królował Ellan'owi.

Moja matka również promieniała. I ona pragnęła syna, poczęści dlatego, że to było życzeniem jej męża, a może i dla tajemnej, z jej własnej trwożliwości i bezradności płynącej wiary, że chłopcu lepiej będzie na świecie, niż córce.

Wszystko szło dobrze do jesieni, kiedy niepokojące wieści poczęły dochodzić z Zamku Raa. Stary lord miał się coraz gorzej i doktór Conrad, którego wzywano do chorego, był zdania, że ten nie dożyje do końca roku. To wprawiło mego ojca w stan wprost gorączkowy. Posłał po swego adwokata i odbywał z nim i z ojcem Danem długie narady. I miał się czego niepokoić, bo z dokumentów, w których się grzebali, wynikało jasno, że gdyby stary lord umarł przed narodzeniem dziecka, nadzieje mego ojca rozwieją się, jak dym.

Po raz pierwszy w życiu ojciec mój okazał się pobożnym i miłosiernym. Obiecał, że jeżeli wszystko pójdzie dobrze, zafunduje nowy ołtarz w kaplicy Matki Boskiej w parafialnym kościele, zaopatrzy w węgiel na całą zimę wszystkich biedaków w promieniu pięciu mil dokoła i wyprawi ucztę wieśniakom. Mówiono nawet, że zamówił potajemnie fajerwerki, oraz olbrzymi transparent z napisem: „Boże, błogosław szczęśliwego dziedzica", który miał zajaśnieć światłem na wzgórzu naprzeciw naszego domu z chwilą, gdy

wielki dzwon z wieży obwieści okolicy radosną nowinę.

Dzień w dzień przez cały wrzesień i październik tajemnemi drogami przychodziły wieści z Zamku Raa. Dzień w dzień doktór Conrad przyjeżdżał do mojej matki. Był to jakby rodzaj wyścigu pomiędzy aniołem śmierci a aniołem życia, wyścigu, którym kierowała potężna dusza mego ojca, usiłując powstrzymać jednego a przyśpieszyć bieg drugiego.

Niecierpliwość ojca udzieliła się otoczeniu, a przedewszystkiem osobie głównie interesowanej. I stało się, co było do przewidzenia. Matka moja zachorowała niespodzianie. Bóle porodowe przyszły o cały miesiąc zawcześnie.

Rozdział II.

O szóstej wiatr przemienił się w istny huragan. Ostatnie liście pospadały z drzew w alei, a nagie gałęzie tłukły się o siebie, niby pęki rózeg. Morze jęczało coraz głośniej, a dzwon, przytwierdzony do skały Świętej Maryi o milę od brzegu, bił, jak na trwogę, bezustannie pod uderzeniami fal. Chwilami strugi deszczu rozbijały się o szyby z chlupotem bałwanów, zalewających luki statku.

— Biedni ci ludziska, co tam tych fajerwerków pilnują — rzekł ojciec Dan.

— Zjedzą za to dobrą kolacyę— odpowiedział mu ojciec.

Ściemniło się już zupełnie, ale ojciec nie pozwolił zapalać lamp, i tylko kominkowy ogień rozświetlał ponure wnętrze jego gabinetu. Chwilami, gdy nawałnica przycichała nieco, z pokoju na górze dochodziły słabe, przeciągłe jęki i szmer pomieszanych głosów.

— To chyba już nie potrwa długo — odzywał się wtedy mój ojciec.

— Dałby to Bóg — odpowiadał Ojciec Dan.

O siódmej napięcie burzy doszło do najwyższego stopnia. Wiatr huczał w obszernym kominku na podobieństwo dalekiego grzmotu, a ryki bałwanów tłumiły wszystkie inne dźwięki. Pomimo to, w pewnej chwili dało się słyszeć głośne łomotanie do drzwi frontowych. Któraś ze służących chciała otworzyć, ale ojciec odwołał ją i wziąwszy latarnię, poszedł sam. Mocując się z wiatrem, rozwarł ciężką połać drewnianą i zamknąwszy ją ostrożnie za sobą, wyszedł przed dom.

W mętnem świetle latarni ukazał się przemoczony do nitki jeździec w liberyi, trzymający za uzdę drugiego, osiodłanego konia.

— Czy jest tu doktór Conrad?— krzyknął ze wszystkich sił, usiłując przekrzyczeć burzę.

— Jest — albo co? — rzekł mój ojciec.

— Proszę mu powiedzieć, że musi ze mną jechać natychmiast.

— Kto to mówi, że musi?

— Lord Raa. Jego lordowska mość jest niebezpiecznie chory. Chce widzieć doktora niezwłocznie.

Mój ojciec musiał zapewne doznać chwili wahania pomiędzy chęcią utrzymania starego lorda przy życiu, a nadzieją natychmiastowego przyjścia na świat swego potomka. Ale wahanie trwało krótko.

— Powiedz lordowi — odkrzyknął — że tu kobieta rodzi, i że dopóki rozwiązanie nie nastąpi, doktór odjechać nie może.

— Ale ja przyjechałem z koniem dla niego i doktór musi jechać ze mną.

— Kłaniaj się lordowi w imieniu Daniela O'Neilla i powiedz, że on tak rzekł.

— Ależ, jego lordowska mość umiera i jeśli doktór nie pospieszy z pomocą, może nie doczekać nocy.

— Jeśli doktór nie zostanie tutaj, moje dziecko może umrzeć przed nocą.

— Och! co to znaczy urodzenie pańskiego dziecka w porównaniu ze śmiercią jego lordowskiej mości — zawołał jeździec, ale zanim dokończył tych słów, ojciec mój chwycił konia za uzdę i odciągnął go wraz z jeźdźcem od domu.

— Wynoś się, pókiś cały! — wrzasnął, poczem wszedł do domu i z trzaskiem drzwi za sobą zatrzasnął.

Ojciec Dan opowiadał mi, że groom z Zamku Raa próbował jeszcze, podjechawszy pod oświetlone okna pokoju mojej matki, wołać na doktora, ale głos jego ginął w poświstach wichru, więc po pewnej chwili zaniechał daremnych wysiłków.

Gdy ojciec mój wrócił do gabinetu, trząsł się cały z oburzenia. Może wspomnienie z przed lat czterdziestu ocknęło się w nim, podniecając gniew.

— Stary łotr! — rzekł mściwie. Niech zdycha!... O! on by chciał, żeby moje dziecko umarło! Wiem o tem... Nie w smak im wszystkim zobaczyć mego syna dziedzicem!

Tymczasem burza szalała, jak dzikie zwierzę, usiłujące potargać wieży. Wnet też zeszła ciotka Brygida z oznajmieniem, że moja matka boi się tych hałasów. Cała służba, zgromadzona w halu, z wystraszonemi minami udzielała sobie szeptem przesądnych spostrzeżeń.

Nagle nastąpiła cisza. Deszcz i wicher ustały chwilowo, nawet odgłos dzwonu na skale Ś-tej Maryi zamilkł i w ciszy tej z pokoju na górze dał się słyszeć przeraźliwy okrzyk bólu. Ojciec mój osunął się na krzesło, zasłaniając twarz rękoma. Ojciec Dan począł żywo przesuwać paciorki różańca, gdy wtem jakieś słabiuchne kwilenie obiło się o ściany gabinetu. Ojciec mój odsłonił twarz i począł nadsłuchiwać. Ojciec Dan zatrzymał oddech w piersiach. Kwilenie powtórzyło się, tym razem wyraźniejsze, nie pozostawiając już żadnej wątpliwości.

— Już po wszystkiem — przemówił mój ojciec.

— Chwała niech będzie Panu i Jego Świętym!—rzekł Ojciec Dan.

— Już ja Im podziękuję! — zawołał mój ojciec. Zerwał się z krzesła, jak młodzieniec, i drzwi od hallu naroścież otworzył. Jeden ze służby, ogrodnik Tom Dug, zwany pospolicie majtkiem Tommy, zbliżył się, pytając, czy ma uderzyć w dzwon na wieży.

— Oczywiście — odparł mój ojciec. — Poto tu czekałeś.

W parę minut potem dzwon na wieży począł bić wielkim głosem, a odpowiedziały mu wnet wesołe dźwięki dzwonów naszego parafialnego kościoła.

— Niech wszyscy wiedzą, jakie mnie szczęście spotkało — zaśmiał się mój ojciec.

Nagle płacz dziecka ustał i teraz dał się słyszeć gwar pomieszanych głosów na górze. Twarz mego ojca spochmurniała, w oczach mignął mu niepokój.

— Co się to znaczy? Gdzie jest Conrad? Czemu Conrad nie przychodzi?

— Chwileczkę cierpliwości. Przyjdzie zaraz — rzekł Ojciec Dan.

Ale parę minut minęło, a nikt się nie zjawiał. Ojciec mój, nie mogąc znieść dłużej tego stanu zawieszenia, podszedł ku schodom, wołając doktora na cały głos.

I wówczas dały się słyszeć jego kroki; ale jakieś powolne, niechętne... poczem ...m doktór ukazał się we drzwiach gabinetu. Nawet w mętnem kominkowem oświetleniu twarz jego uderzała bladością. Nie odezwał się zrazu; nastąpiła chwila śmiertelnego milczenia. Wreszcie mój ojciec przemówił:

— I cóż?...

Doktór wciąż milczał.

— Człowieku! mówże raz!... Czy... *nie żyje?*

— Och! Nie! Nie! Nie to!

— Więc co?

— To — córka!

— Cór... powiedziałeś pan — córka?

— Tak!

— O, Boże! — rzekł mój ojciec i znowu osunął się na krzesło. Usta mu się rozwarły, przygasłemi raptem oczyma wpatrzył się w ogień z osłupieniem.

Ojciec Dan próbował go pocieszać: Każdy kielich musi mieć swoję kroplę goryczy; a zresztą, córka, to także błogosławieństwo Boże. Z córek rodzice mają częstokroć większą pociechę, niż z synów; one są kwiatami życia i umileniem doczesnej pielgrzymki człowieka.

Przez cały ten czas dzwony biły radośnie i w ślad za tem pokój zajaśniał cały od drgających światełek iluminacyi na wzgórzu.

— Tak, i kobiety są solą ziemi— mówił dalej Ojciec Dan, ze swym łagodnym, irlandzkim akcentem — i gdy pomyślę, ile się wycierpią, aby świat mógł istnieć, miałbym ochotę uklęknąć przed pierwszą, którą spotkam na ulicy, i stopy jej całować! Czemże byłby świat bez kobiet? Pomyśl pan o świętej Teresie! Pomyśl o błogosławionej Maryi Magdalenie! Pomyśl o samej Najświętszej Pannie!...

— Co mi tam będziesz proboszcz plótł — przerwał mój ojciec z pasyą i, zerwawszy się z krzesła, począł biegać po pokoju i kląć straszliwie.

— Przestańcie z tem przeklętem dzwonieniem! Czy ten dureń będzie dzwonił do skończenia świata? A i te światła głupie! Pogaście je natychmiast! Cóż to! Piekło naigrawa się ze mnie?

I z temi słowy wybiegł z pokoju.

Moja matka słyszała to wszystko. Wstyd ją ogarnął i poczucie winy. Z cichym, żałosnym jękiem odwróciła się do ściany i zemdlała.

Stary lord umarł tej samej nocy, a w miesiąc później nowy lord Raa w uczniowskiej kurtce przyjechał objąć dziedzictwo w posiadanie.

Ale nim to jeszcze nastąpiło, ojciec mój przeszedł do porządku dziennego nad swojem rozczarowaniem i ze zdwojonym zapałem począł wraz z bankierami i adwokatami przemyśliwać nad pobudzeniem starej wyspy do nowego życia.

DCN.

Wiadomości literackie.

STEFAN KRZYWOSZEWSKI. *„Cert a karcmarka"*. Fantasticka veselohra o trech dejstvich. Z polskeho prelozil Jakub Rydvan.

Latem roku przeszłego grano „Dyabła i karczmarkę" w Pradze czeskiej z dużem powodzeniem. Obecnie zjawił się przekład tej komedyi w książkowem wydaniu, nakładem „Divadla". Przekład zaleca się sumiennością opracowania oraz dobrem uchwyceniem nastrojów.

HENRYK BIEGELEISEN. *„Lirnik mazowiecki"*. Jego życie i dzieła w świetle nieznanej korespondencyi poety.

Monografia Teofila Lenartowicza, sumiennie opracowana przez znanego historyka i krytyka, Henryka Biegeleisena, jest spłatą długu moralnego, jaki zaciągnęło społeczeństwo polskie wobec tego zmarłego na emigracyi pieśniarza dum sielskich, tęsknot prostych a serdecznych. Wprawdzie i za życia znajdował serdeczne przyjęcie, lecz nie wszystkie głosy jednako sprawiedliwie sądziły jego zacny choć prosty dorobek artystyczny. Stronice monografii Lenartowicza opowiadają o smutnych i tragicznych warunkach bytu, w jakich pozostawał aż do śmierci. Czytając opisy nędznej egzystencyi tego bądź co bądź chcącego pracować człowieka, wstydem powinno zapłonąć i niejedno współczesne oblicze. Bo i, rzeczywiście, społeczeństwo po macoszemu traktuje swoich pracowników w dziedzinie sztuki i myśli!

Praca Biegeleisena, obok sumiennego studyum utworów Lenartowicza, daje doskonały skorowidz wszystkich jego prac, daje wykaz przekładów na obce języki, jak również podaje tytuły wszystkich studyów, które omawiają jego twórczość tak poetycką, jak pieśniarską. Szerokością poglądów Lenartowicz nie odznaczał się zupełnie. Nie miał zresztą do tego żadnych pretensyi. Uważał się za poetę, śpiewającego dumy ludowe, i chciał, by go brano takim, jakim jest.

Kto chce się zapoznać z Lenartowiczem sumiennie — ten nie może pominąć książki Biegeleisena, jak również nie wolno mu poniechać szkicu literackiego Kasprowicza. Resztę bowiem interesujących zdań o poecie streszcza Biegeleisen, a więc chyba dla sprawdzenia można je przeczytać. Niektórzy krytycy uważają poezye Lenartowicza za nikłe, mdłe kwilenie fujarki mazowieckiej, ale to dla nas powinno być obojętne. W bogatej spuściźnie literackiej naszego narodu musi znaleźć miejsce każdy kwiat i każdy kwiat powinien być z jednakowym pietyzmem przechowywany i kultywowany.

„Polskiej dziatwie". Wyszła świeżo z druku w sporych rozmiarach książka Ela (ś. p. Kazimierza Laskowskiego), przeznaczona dla polskiej dziatwy. Książka wydana w szacie niezwykle wytwornej i ilustrowana kolorowemi planszami przez artystę-malarza Antoniego Dzierzbickiego — zawiera wybór wierszy, dokonany na krótko przed śmiercią zgasłego pieśniarza, tak miłującego świat dziecięcy i odczuwającego serdecznie duszę dziecka polskiego.

Z literatury angielskiej.

× *C. E. Montague. „The Moring's War"*. Powieść niniejsza zawiera bardzo zajmującą fabułę, ujawnia ciekawą filozofię życiową autora i wykazuje talent w charakterystyce. Wszelako nazbyt widoczna jest w niej robota techniczna, uderza nadmiernie staranie autora o wykazanie własnej inteligencyi. Stąd nadmiar cytat i nużące napaści na pisane słowo. Złośliwy czytelnik mógłby autorowi uczynić zarzut, że radby on wszystkie książki, oprócz własnych, przedstawić jako nic nie warte.

Każdej z pań radzimy przedewszystkiem udać się do

Gabinetu kosmetycznego Wandy Zielińskiej.

Masaż leczniczy, kosmetyczny, elektryczny, depilacya, parowanie, manicure.

Żórawia 47 m. 11 od 12—3 i od 4—7 pp.

TREŚĆ. № 1.

„Pieniądz" Powieść *Andrzej Strug.*
Z notatek. Poezye *Kazimierz Tetmajer.*
Dana od Boga. Powieść *Hall Caine.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTACYI: Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor STEFAN KRZYWOSZEWSKI.
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT".

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Dunajewskiego 1.

Druk Towarzystwa Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

Z dziedziny kosmetyki.

Zakochanej. Drobne zmarszczki, poczynające się ukazywać, usunie *Abarid*, wcierany w twarz lekko przed udaniem się na spoczynek. Rano myć się ciepłą wodą i Otrąbkami abaridowemi bez mydła. Ręce szorstkie udelikatni krem *Pâte des Prelats*, wcierany na mokro po każdem myciu; w celu zaś wybielenia rąk trzeba na noc po wtarciu kremu zapudrować pyłkiem *Juvenia Candida* i nałożyć rękawiczki kosmetyczne, to jest ze specyalnej skórki, bardzo przewiewnej, sporządzone. Zbyteczne włosy usunie *Epil Max*.

Waligórze. Wyrzuty i krosty na twarzy lekko smarować na noc kremem *Neutre* i pić *Zioła Paragwajskie*, zaparzane zamiast herbaty.

W. W. Zmarszczki, silniej już zarysowane, trzeba masować aparatem pneumatycznym *Heros*, co należy samej sobie uskuteczniać codziennie po parę minut. Na noc wcierać w twarz *Abarid*. W końcu tej rubryki podano, gdzie nabyć. Cena rb. 7 kop. 50.

Łodziance. Czerwone ręce myć w gorącej wodzie, wcierać na mokro krem *Pâte des Prelats* i zapudrowywać pyłkiem *Juvenia Candida*, prócz tego pyłek ten wcierać w ręce na sucho parę razy *celsior*, stosując według przepisu.

Cierpiącej. Siwiejącym włosom koloru ciemno blond przywróci kolor *Excelsior*, stosując według przepisu.

Pianistce. Odmrożone ręce, nogi, uszy, nos wyleczy *Gelurine*, płyn i krem, użyte jednocześnie.

Blondynowi. Przyspieszy porost wąsów pomada żółwiowa *Tortulea*. Wypadanie włosów powstrzyma *Tetral Tissota* i usunie łupież równocześnie. Jeśliby *Tetral*, po zużyciu całego flakonu, okazał się za słabym, wtedy dopiero trzeba stosować *Salvol*, który bezwątpienia powstrzyma wypadanie.

Do Wszystkich. Wszystkie środki, tutaj omawiane, mają na składzie i wysyłają za zaliczeniem firmy: *„Perfection"*, Szpitalna, 10, i *Paszkowski*, Marszałkowska, 109, oraz Nowo-Senatorska, 2, w Łodzi *Spiess*, w Wilnie *Grużewski*, w Sosnowcu *Jagiełłowicz*, we Lwowie *Pawłowski*, w Poznaniu *Gadebusz*.

Na kopertach dopisać należy: *„Dział kosmetyczny"*. *M-me Ercedès.*

HEMORIN

(ŚWIECZKI) PRZECIW o HEMOROIDOM.

MAGISTRA KLAWE

Skład gł. 10, P. św. Aleksan. Apteka

Siwe włosy

giną bezpowrotnie po jednorazowem użyciu „Wody Pelanin". Woda ta nie farbuje lecz przywraca naturalny kolor włosów. Nie zawiera tłuszczu ani osadu. Nie brudzi skóry, proszę raz spróbować jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy z powrotem: skład główny perfumeryjny J. Wróblewskiej, dawniej Lipink. Wierzbowa róg Niecałej, tel. 75-56. Wysyłka za zaliczeniem.

MOR TĘPI RADYKALNIE **szczury i myszy** wyłączna sprzedaż

ST. STANISZEWSKI

Warszawa, Krak.-Przedm. № 31.

Skład apteczny i perfumeryjny.

Kaloderma

KALODERMA MYDŁO
KALODERMA-KREM
KALODERMA-PUDER RYŻOWY

Najlepszy dla zachowania piękności skóry.

F. WOLFF i SYN
KARLSRUHE
BERLIN-WIEDEŃ

THIOTYMINA

APTEKARZA J. HUMBLET
ZATW. PRZEZ URZĄD LEKAR. PETERSB. ZA № 6816.
ZALECANY PRZEZ P. P. LEKARZY Z NIEZAWODNYM SKUTKIEM, JAKO ŚRODEK ZNAKOMITY W PRZYPADKACH CHORÓB DRÓG ODDECHOWYCH, JAK: KATAR KRTANI, KATAR OSKRZELI, KATARY PŁUC, KASZEL. POBUDZA ŁAKNIENIE, WZMACNIA ORGANY TRAWIENIA, A TEM SAMEM PRZYCZYNIA SIĘ DO OGÓLNEGO POLEPSZENIA STANU CHOREGO.
SPOSÓB UŻYCIA PRZY KAŻDYM FLAKONIE.
ŻĄDAĆ WE WSZYSTKICH APTEKACH I SKŁADACH APTECZ.

Neurastenja.

591

Posrod środków nowoczesnych, które lekarze chętnie zalecają, zajmuje pierwsze miejsce

ŚRODEK WZMACNIAJĄCY NERWY

Muiracithin Alexandra.

Choroby nerwowe zajmują obecnie wybitne miejsce w badaniach lekarskich, w szczególności zaś **przedwczesna niemoc nerwowa**, czyli **neurastenja** u mężczyzn, która jest nadto niebezpieczeństwem nie do lekceważenia.

Przedwczesna niemoc nerwowa jest przeważnie wynikiem bądź **umysłowego**, bądź **fizycznego przemęczenia, nadużyć płciowych** i t. d. i odbija się szkodliwie na czynnościach całego organizmu, tak że dolegliwości tego rodzaju, jak **brak apetytu, osłabienie pamięci, drgawki nerwowe, opresya, podniecenie** i t. p. są częstokroć **objawami, towarzyszącemi przedwczesnej niemocy nerwowej.**

Dlatego też w wypadkach podobnych nie należy zwlekać, lecz zawczasu zwrócić się do lekarza, który, jak to już wzmiankowaliśmy, rozporządza tak potężnym środkiem, jak MUIRACITHIN ALEXANDRA. Prosimy o przeczytanie broszurki z odezwami lekarzy, którą wysyłamy zainteresowanym franco i bezpłatnie. MUIRACITHIN ALEXANDRA sprzedaje się we wszystkich większych aptekach.

Kantor Przetworów Chemicz. St.-Petersburg. Małaja Konluszna ja 10.

Wobec tego, że w ostatnich czasach ukazały się w sprzedaży liczne a bezwartościowe naśladownictwa naszego MUIRACITHIN"U ALEXANDRA, nietylko niewypróbowane klinicznie, ale i nie dające żadnej pewności co do nieszkodliwości części składowych, prosimy tedy Sz. Publiczność o baczne zwracanie uwagi na naszą markę „MUIRACITHINA ALEXANDER" i odrzucanie naśladownictw.

Główny skład dla Królestwa Polskiego:
S. Rościszewski i J. Kirchmayer, Warszawa, Bracka № 6.

NIEPRAWDOPODOBNE, A PRZECIEŻ PRAWDZIWE! Wszyscy ci, którzy pragną doznać szczęścia, uniknąć swego przeznaczenia, zdobyć sobie miłość ukochanej kobiety, wogóle uzyskać wszystko, czego człowiek pragnie; odkryć najgłębsze tajemnice, dowiedzieć się, co się w sąsiednim domu dzieje, wykorzenić pijaństwo, samogwałt (onanizm) i inne rozmaite zboczenia; mieć stałe szczęście w grach i loteryi, pozyskać władzę nad innymi ludźmi, we wszelkich handlowych przedsięwzięciach mieć stałe powodzenie i t. d. i t. d. niech zażądają wysłania im dzieła w języku polskim, które ich o tem pouczy. Dzieło to wysyłam darmo, jedynie za zwrotem wydatków w kwocie rb. 0.75, które nadsyłać należy w liście w markach pocztowych pod adresem: I. TOURJAEN psycholog, Bruksella — Centre, Boîte postale 125, Belgia... E. 12.

„Au Délice"

CHMIELNA 14. Tel. 182-21.

Cukry, Czekolady, Kakao, Biszkopty i wszelkie wyroby z fabryk „Jan Fruziński", „Fuchs", oraz Rosyjskich i Zagranicznych otworzyłam o czem zawiadamiam Sz. Odbiorców

8933 *BOGUMIŁA ZATORSKA.*

Nowość: Zamówienia przyjmują się przez telefon do godziny 10-ej wieczorem, z odsyłaniem do domu. W niedziele i święta sklep otwarty od 2 do 5. Na prowincyę za zaliczeniem.

Wydawnictwa Tow. Akc. Wydawniczego „Świat"

WINC. KOSIAKIEWICZ
Powrót z za świata
Cena rb. 1.—

BOLESŁAW GORCZYŃSKI
Na tropie trucizny
ROMANS.
Cena rb. 1.80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Tanie pierze czeskie.

5 kg. świeżych dartych 4 rb. 30 k., lepsze 5 rb. 20 k., 5 kg. białych, miękich jak puch, dartych 10 rb. i 12 rb. 50 kop., 5 kg. śnieżno-białych miękich jak puch, dartych 15 rb., lepsze 17 rb. 50 k. Pierze nie płacą cła. 5 kilogr.=12 funtom rosyjskim. Wysyła się franco bez cła za zaliczeniem. Zwrot i wymianę uwzględnia się za potrąceniem porta

Benedikt Sachsel,
Lobes № 182 p. Pilsen, Czechy.

MEBLE gięte, stolarskie. URZĄDZENIA CAŁKOWITE
Bracia THONET
Warszawa, MARSZAŁKOWSKA № 141. Tel. 20-29.

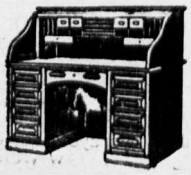

Karol F. FISER

Warszawa, Mazowiecka 10.
KOMPLETNE URZĄDZENIA BIUROWE.
AMERYKAŃSKI SYSTEM. 857

STANISŁAW PRUSZKOWSKI :: WARSZAWA :: Największa w kraju Fabryka cukrów Srebrna № 14. POLECA ZNANE ZE SWEJ DOBROCI WYROBY.